“RAZ W ROKU W TAWERNIE POD SKRZYPIĄCYM UMRZYKIEM”

Sto lat temu, podróżnicy, marynarze, mieszkańcy okolicznych wsi i miasteczek, a nawet zamożni i wysoko postawieni ludzie zbierali się co weekend w tawernie “Pod Skrzypiącym Umrzykiem”. Nie był to elegancki lokal ani nawet lepszy pub. Wręcz przeciwnie, była to stara, drewniana chata w środku gęstego lasu tuż przy morzu, która mimo wielu niedoskonałości cieszyła się dużym powodzeniem. W każdy piątek i sobotę wieczorem bar pękał w szwach. Ludzie bawili się, tańczyli, pili, rozmawiali, śpiewali czy grali w gry karciane. Niekiedy zdarzały się pijackie bijatyki, które zawsze łagodzone były kolejnym kuflem piwa bądź innego trunku.

Tym razem nie zapowiadało się nawet na bójkę. Atmosfera była jak nigdy wyśmienita. Jedni tańczyli, drudzy w błogim upojeniu odpływali w krainę Morfeusza, siedząc na krześle gdzieś w rogu izby, jeszcze inni wdawali się w ekspresyjne rozmowy na temat działań inwestycyjnych na ziemiach państwowych. Do czasu, aż nastała północ. Blask księżyca przysłoniły ciemne chmury, zerwał się silny wiatr, zgasło światło, nastała całkowita ciemność i wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły, ukazując jedynie zarys wysokiej postaci. Po chwili, do baru wtargnęli piraci, domagający się pieniędzy, wartościowych i cenne przedmioty, nie pozostawiając przy tym przy życiu nawet jednego człowieka.

Od tamtej pory nikt już nie odważył się tam pójść. Mówi się, że raz na w roku “Pod Skrzypiącym Umrzykiem”, w rocznicę tej strasznej tragedii, z głębi lasu słychać muzykę. To duchy zamordowanych dalej bawią się, jakby nic się nie zdarzyło. Nikomu jednak nie udało się tego dowieść, ponieważ każdy śmiałek, który zapragnął tam pójść, ginął bezpowrotnie i wszelkie ślady po nim znikały. Podobno jest to tylko legenda. Okoliczni mieszkańcy tłumaczą sobie, że śmiałków na pewno atakowały głodne, dzikie zwierzęta, ale nie chcą przekonywać się o tym na własnej skórze i wolą trzymać się od tego miejsca z daleka.

ZW 2B